[San Francisco, maj 1877]

Kochani moi,

Wypadkiem przyjechałem z Alameda C. do St Francisco, gdzie Horain oddał mi list Wasz i Mikulskiego. Nie potrzebuję Wam mówić, jak mnie one ucieszyły i ile rozbudziły miłych wspomnień. Dawno bym sam był pisał do Was, ale i pozapominałem adresów, i wreszcie nie wiedziałem, czy jesteście w Warszawie, czy w Paryżu w objęciach pięknej Wirginii lub Marii de Louxemburg. Chcecie, abym Wam doniósł co o sobie – co mogę, to donoszę w „Gazecie". – Wam więc chyba tylko o rzeczach zupełnie osobistych. Przede wszystkim więc, dobra rada. Jeśli apatia, na jaką uskarżaliście się w pierwszym liście, wróci jeszcze, nerwy Wasze się rozprzęgą, ochota do życia zniknie – wrażliwość stanie się męką, a hamletowa świadomość siebie nie da umieścić się żadnym wrażeniem, to... „ruszaj, bracie, ruszaj w pole!". Jedźcie wtedy, ale nie do Paryża, Dunkierki lub innego jakiegokolwiek miasta, ale na przykład nad brzegi Zambezi, Zanzibaru lub Oveuge [?]. Tam odżyjecie prawdziwie. Czy wyobrażacie sobie kraj pyszny, lesisty, ciepły, w którym się podróżuje na własnych nogach lub na koniu, żyje się ze swej strzelby, na pieniądze patrzy jak kogut na perłę, sypia koło ognia pod gołym niebem, zapomina się o hamletowszczyźnie, a całą energię, wszystkie siły umysłu i ciała natęża się na to, aby nie spudłować do jakiejś zasranej kuropatwy lub zająca. Jeśli w ten sposób nie można odżyć, to wcale. Mówię to wszystko zupełnie na serio – wiem, że filistrowi wydałoby się to śmieszne, niedorzeczne i nierozsądne, ale Wy nie jesteście filistrem.

Co do mnie, muszę teraz wpłynąć na geografię. Całą wschodnią granicę Kalifornii stanowią góry Sierra Newada – w środku zaś idzie mnóstwo pasem, jak Santa Ana, Bernardino, Santa Lucia, Santa Inez. To wszystko bardzo lesiste, pełne strumieni. Kraj ma 6000 niemieckich mil kwadratowych, a 700 tysięcy mieszkańców. Resztę kraju stanowią albo pustynie gołe jak klepisko, miejscami piaszczyste, miejscami porośnięte palmetami i kaktusami – albo nadzwyczaj żyzne prerie. Miasta stoją nad brzegiem morskim przeważnie. Koło miast na kilka, czasem kilkadziesiąt mil kraj uprawny i żyzny jak Belgia lub Saksonia. Każdy kawałek ziemi zajęty, rozmierzony, obsadzony granatami, figami, pomarańczami, winem, piczami (piczes znaczy po angielsku brzoskwinie), porzeczkami, malinami etc. Rzeklibyście, kraj najludniejszy na świecie. Ale koło miast leżących w środku kraju już inaczej. Za terytorium miasteczka ciągnie się kilka lub kilkanaście ogrodów, farm, a dalej pusto. W Anaheim np. jest jedna ulica, która zwie się Lemon Street. – Czy wiecie, co się zaczyna za Lemon Street? – Pustynia: kaktusy i basta. Cywilizacja styka się o ścianę z światem dziewiczym. Możecie sobie powiedzieć: jedną nogą jestem w mieście – drugą na dziczyźnie. Nocą podchodzą kojoty i skomlą pod ścianą

ostatniego domu. Zabawne! Otóż jest tak: te góry, o których wspomniałem, są prawie zupełnie puste: czasem się zdarzy skwater, czasem miner, Meksykanin, Yankee, Chińczyk, Indianin – zresztą psa nie ma. Nie dlatego, żeby ziemia była zła: owszem, pyszna – ale po prostu ludzi nie ma. Owóż w tych górach na całej długości od Oregon do Arizony – ja grasuję. Ani dbam, co będzie jutro: żyję pod słowem często jak Robinson. Czasem zachodzę do jakiego *setlement* kupić mąki w worek, zresztą po całych tygodniach jeżdżę swoim dworem. Zwierzyny jest huk – wyuczyłem się przy tym strzelać jak anioł. Słońce opaliło mnie tak, że wyglądam jak turkos albo Indianin. Wychudłem jeszcze, bo wszelki tłuszcz wyparował ze mnie, ale zawędziłem się, zahartowałem i zdrów jestem jak koń. Znając mnie dawniej, może temu nie uwierzycie, a jednak daję Wam słowo, że takie życie półdzikie pędzę przeważną ilość dni. Sypiam doskonale, jadam jak koń – ani dbam o jutro. Rozpalam sobie ogień, zawijam się w kołdrę – i *„all right"* – a wspominając dawny strach wariata, tę nieokreśloną obawę, z jaką szedłem spać – wyobrażacie sobie, z jaką satysfakcją, z jakim poczuciem siły i zdrowia powtarzam sobie czasem: „E, w dupie mam nerwy!". Czasem tylko, gdy się bardzo zmęczę, myślę, że to jest czasowe polepszenie, po którym nastąpi gorsze jeszcze przesilenie. Ale nazajutrz rano tak się czuję znów zdrów i pewny siebie, jakbym miał 16 lat i na nowo zabierał się do życia. Nie było jeszcze dla mnie za późno, bo miałem sił naturalnych dosyć (Pan jesteś ogromnie źle zbudowany [?] – to prawda). – Uśpiona moja przedsiębiorczość zmartwychwstała także. Nie może tu być inaczej. W tym kraju energię wdycha się razem z powietrzem i choćbyś Pan chciał nie być energiczny, to musisz. Tego interesu, który Pan lubisz nad wszelki statek ziemski, wprawdzie czasem brak – ale Chinki zastępują go, jak mogą. Tylko skromność moja, tylko wszelki brak miłości własnej wstrzymuje mnie od pochwalenia się przed Wami, ile razy… Gdzie się to podziało warszawskie wstrzymywanie się od zmazy grzechowej? *À propos* – Chinki się golą, ale nie dość często, skutkiem tego „ten interes" wygląda jak twarda szczotka. Indianki mają wszy miliony, a Amerykanki są zimne – Irlandki zbyt pobożne – więc dobrowolnie nie dają, tylko każą się gwałcić, wreszcie jedne i drugie mają wstrętny zwyczaj pytać: *Are you satisfied*? Odpowiada się na to: *No*! – więc jeszcze raz: *Are you satisfied?* znowu po dziesięciu minutach: *No!* itd. Każda Ajryszka powtarza jeszcze w czasie akcji (podrzucając) *„Ah, let me alone"* (ach, zostaw mnie samą), wskutek czego zdarza się często, że łobuz miner spotkawszy na ulicy Irlandkę zaczyna piszczeć: *„Ah, let me alone".* Tłuką się o to czasem po pyskach. – Zresztą narodowości tu pełno – i nie wynajdziesz Pan ani jednej nie europejskiej, ale jakiej Pan chcesz, która by nie miała swoich przedstawicielek. Zapomniałem o Murzynkach. Powiadam Wam: klękajcie narody. Panie! sprowadź Pan sobie koniecznie choć kominiarza, żeby nabrać pojęcia o tych rozkoszach. Co do czystych Amerykanek, żeby Panu dać pojęcie o

młodych miss, powiem tylko to: czy pamiętasz Pan u Andzi, jak Zosia, Walerka lub Olesia przechodzi z talerzami, a wszyscy ją macają to za cycki, to za dupę, to za udo – tu tak samo – tylko że to robią panny z garsonem. Jest w tym przesada, ale pod słowem Wam powiadam, że nie tyle, ile myślicie. Co za nieprzyzwoity list – ale też „W godne ręce! w godne ręce!”. Nie zapominam, że rozpusta jest Pańskim udziałem – a mam trochę nadziei, że Pan po przeczytaniu powyższego ustępu porzucisz myśl o Dunkierce, a przyjedziesz tu, na czym i ja skorzystam. Ludziom skromnym nie pokazuj Pan jednak tego listu – chyba jednemu Jankowi Kamińskiemu. On, jakkolwiek dziś żonaty i z osobą tak sympatyczną – ma jednak piękną przeszłość, on mnie zrozumi i tak przedmiot, jak wyrażenia oceni.

Doskonale zrobił, że się ożenił z panną Szlezyngier. Nie z3nałem jej nigdy, a sympatyzowałem z nią zawsze. Nieraz mam prawdziwą satysfakcję myśleć nad brzegiem Oceanu Spokojnego o różnych znajomych z Warszawy. Upływają mi na tym czasem całe godziny. Prawdziwą radość sprawiła mi wiadomość o ślubie Mikulskiego. – On dobry człowiek – ona była zawsze poczciwa dziewczyna – chwała Bogu, że taka dziewczyna znalazła takiego opiekuna. Inaczej nie wiem, co by robiła na świecie po śmierci tej biednej Buczyńskiej. – Ale! co to za pyszna sprawa, to żądanie Szeligi pożycia Świętej Kunegundy z Bolesławem Wstydliwym. *That is very nice!* Biedny ten Czarnocki. Nie miał szczęścia nigdy. Opowiedzcie to Morzkowskiej lub Orzeszkowej, a ręczę, że wysikają na ten temat po parę tomów powieści. *À propos* powieści, dziękuję Wam za recenzję *Szkiców*... Czytałem także w „Kurierze”. Co do „Przeglądu”, dziwiłem się, bo myślałem, że będzie mnie bronił mimo osobistych moich stosunków z Wiślickim. Kto mi zarzuca nieobywatelskość, niech mnie w dupę pocałuje. Patrzcie tylko. Ani jednej postaci ujemnej prócz Zołzikiewicza. Wszyscy dobrzy ludzie. Biję jak młotem w to, że to są stosunki niezdrowe społeczne, że stan ruiny [rany?] społecznej rozpaczliwy jest, zły, niemoralny – i nienaturalny, za co odpowiedzialność pada nie na społeczeństwo, ale na urządzenia od społeczeństwa niezależne i w ręku społeczeństwa niebędące. – Dotykam rany takiej śmierdzącej, jak Zołzikiewicz, kandydat dziś na sędziego – mam wreszcie odwagę pisać o rzeczach, o których nikt nie pisał dotąd – daję pierwszą powieść chłopską, w której występuje nie idealny kmiotek, ale chłop prawdziwy i jego życie, a ci mnie nie rozumieją. Ja nie mówię o talencie i stronie artystycznej obrazu, bo to do mnie nie należy, bo zresztą mniej mi o tę stronę chodziło, ale właśnie o żywotnych interesach dotkniętych w szkicach. Mój Boże! jeśli sam sobie wydaję się dość głupim w roli zapoznanego, o ileż głupszą wydaje mi się ta parszywa klika „przyjaciół literatury”, ta klika półgłówków i zasrańców wrzeszcząca wniebogłosy, że ktoś, gdy wypadkiem nie wyidealizuje głupiego szlachcica, to już

zdradził swojskość, ojczyznę itd. O parszywcy! o łby baranie! Proszę Was na wszystko, wymieńcie mi ich z imion, nazwisk, abym napisał drugi szkic: „Co się dzieje w baranich głowach", abym ich orzygał, opluł, abym ich odmalował pod ich własnymi nazwiskami i z ich rysopisami, abym ich żony porobił kurwami, ich samych kpami i złodziejami – abym napisał pamflet prawdziwy, który by potruł te małe pieski szczekające „w swojski sposób", a mające „swojskie gówna" nie pod ogonem, ale w głowie. A bić tych złodziejów bez litości! Czytałem Waszą recenzję o Tarnowskim. Przedrukowała ją w części Narodówka czy też „Dziennik Polski", które przychodzą tu do Polish Society – a które w wielkich pakach doszły mnie w Alameda C. Mieliście zupełną rację. Tarnowski jest to kiep, który sądzi poetów jak bakałarz żaków – z ich błędów. A przy tym to taż sama parszywa klika. Czasem żałuję, że nie jestem w Warszawie, bo mógłbym siadać gołym zadkiem na tych łbach, i mówić potem: „Przepraszam! myślałem, że to urynał!". Ale dość o tym. Nie mogę mówić o takich rzeczach spokojnie. Życzę im wielkiej choroby i wenerii i żeby ich wapnem po zdechnięciu zasypali. Żebym miał taką jedną mordę pod ręką i mógł ją co godzina kopnąć obcasem w zęby – miałbym dosyć.

Moi drodzy! Z drugiego listu Waszego widzę, żeście zakochani naprawdę i nie wiem, czy się cieszyć z tego, czy smucić! Żarty, żarty, a jak to przyjdzie naprawdę, a zmieni się w uczucie, aż włosy na łbie powstają, w nieszczęsną namiętność, w straszny nałóg, zasłaniający oczy, zmieniający człowieka w głuchego, ślepego i głupiego, jak zajmie wszystkie myśli, wszystkie chęci, całe życie – to jest po prostu rozpacz – to jest po prostu nieszczęście, przed którym i do lasu uciec nie pomoże. Nikt się nie zna, nikt się nie rozumie – kto kochał i przekochał dwadzieścia razy, nie może zaręczyć, czy się nie zarżnie na śmierć bez ratunku i zbawienia pierwszy raz. Najapatyczniejszy, najbardziej wygasły człowiek nie może za to zaręczyć. A potem co? – czy z lasu, czy z Dunkierki, taka psiakrew namiętność za włosy Was wyciągnie i zaciągnie do nóg kobiety – i raz na miesiąc ją zatoczycie, a będzie tego dosyć na cały rok. O, mówię Wam, że to jest po prostu nieznośne i że będziecie łbem o drzewo walić, a jak sobie pomyślicie, że ona tam może całuje się z innym, może daje mu w tej chwili, to będziecie ręce gryźć i wściekać się. – Niech Was w dupę pocałują wtedy tacy, co kiwają łbami nad miłością i nie wierzą w jej siłę, i mówią, że to tylko nazywa się ułudą. Daję Wam słowo, że to wtedy najmniejsza rzecz, jak się to nazywa – ale to boli i wierci jak świder – i będziecie mieli ochotę wyć w Waszej Dunkierce czy w lesie i Wy – poczciwy dotąd człowiek – będziecie po całych godzinach rozmyślać o tym, jakby otruć, zabić, utopić i zakopać po cichu w ziemię tych, co Was od niej dzielą. Zresztą ja tam nie wiem, co się z Wami dzieje, wiem tylko, że z tych rzeczy może wypaść diabli wiedzą co. Jeśli macie wzajemność i wierzycie w nią, to doskonale, czegóż potrzeba – ale jeśli kochacie się z wiarą, to proście jej, niech Wam da – jeśli

kocha, to porzuci wszystko i pójdzie za Wami i da Wam czy panna, czy mężatka, ale jeśli nawet Wam da, a nie rozstanie się dla Was ze wszystkim – to tylko dowód, że amatorka jaj na twardo – nic więcej. Czy możecie się z nią ożenić – i żyć z nią – i mieć ją dwanaście razy na dzień i na noc? Jeśli nie, to jedźcie do Dunkierki. Co się filistrom nie trafi, to się Wam może trafić!

Cóż Wam więcej napiszę – chyba o znajomych, o pani Chłapowskiej wiadomości w gazetach były za wczesne. Mówi po angielsku jak po polsku, umie mnóstwo ról na pamięć – robią jej rozmaite oferty – być może, że w San Francisco wystąpi. Ale nie drukujcie tej wiadomości. Prosiła mnie, żeby nic o niej nie donosić. – Zresztą zdrowa, zawsze młoda, zawsze piękna – ot, i wszystko. Jeśli tu wystąpi, zrobi, Bóg wie, jaki majątek. Tu nic podobnego nigdy nie widzieli. Ona jest bardzo genialna nawet na Europę, a cóż dopiero na Amerykę. Widuję ją nieczęsto, bo ona stale teraz mieszka w San Francisco, a ja tu bywam rzadko. Za parę dni znowu ruszam w góry. Kiedy wrócę – nie wiem. Może niedługo. W każdym razie nie inaczej, jak naokoło – przez Pacyfik i Indie. – Pod pokładem – z majtkami – z ropą morską i ze szczurami niewiele kosztuje – a inaczej bym nie jeździł, choćbym miał pieniądze. Tu tak szanują człowieka pod pokładem (a raczej na pokładzie *sub Jove*) jak w pierwszej klasie. To wyższość Ameryki. Zresztą Bóg wie, gdzie jeszcze pojadę. Do Arizony nie mogę się wybrać, do Meksyku także trudno – bo samemu pośród Komanczów i Apaczów niepodobna, a na szajkę awanturników trzeba czasem długo czekać. Pojadę jeszcze do diabła gdzieś na koniec świata, w lasy, prerie. – Kto tego pokosztował, pragnie coraz więcej. Jak nie będzie można inaczej, wezmę karabin, psa i pójdę sam. Nie tak trudno dać sobie rady, jak się zdaje, byle się trzymać rzek – bo tu czasem na setkach mil nie ma wody w preriach. Ale zresztą jestem pewny, że licho nie tak prędko mnie porwie – a nim porwie, na wszelki wypadek ściskam Was, polecając się Waszemu sercu i pamięci.

Wasz przyjaciel

H. Sienkiewicz

Do Miku wysyłam list jutro. Adres mój na boku. Horain zawsze mnie znajdzie, bo korespondujemy bardzo często. –

M. H. Sienkiewicz Esq., care of M. Horain, U. S. America. San-Francisco Cal., Folsom Street. 957.